



ANNA MARCHEWKA: Ma Pani w dorobku powieści fantastyczne (*fantasy* i *science fiction*) i to one przyniosły Pani rozpoznawalność, uznanie i nagrody. Niestety, do tej pory Pani twórczość znana była zwłaszcza w obrębie tak zwanego fandomu (nawet nagrody dotychczas Pani przyznawane to nagrody dla literatury gatunkowej) – z jakiegoś powodu polska krytyka literacka z oporem podejmuje wyprawy poza centrum. Wyjątkami potwierdzającymi regułę jest zainteresowanie twórczością Łukasza Orbitowskiego, Szczepana Twardocha czy Wita Szostaka, które, rzecz jasna, związane było z sukcesem *Łodu* Jacka Dukaja i jego „wyjściem z getta”. Wszyscy wymienieni autorzy, choć mają „gatunkowe” korzenie, już od lat czytani są i omawiani w obiegu krytycznoliterackim głównego nurtu właśnie. W Pani przypadku jest inaczej. Gdy ukazała się *Łaska*, a potem wyróżniona nagrodą imienia Janiny Paradowskiej *Wiara*, czytano Panią jak (nie)debiutantkę. Niewątpliwie to jeden z większych kłopotów krytyki głównego nurtu – można by nawet zadać pytanie o to, kto właściwie jest bardziej zamknięty... Czy to tylko przejście do niezwiązanego z fandomem wydawnictwa zadziałało na rzecz widoczności, czy rzeczywiście dokonała się w Pani pisarstwie na tyle istotna zmiana, że powieści tak zwane kryminalne mogły wyjść poza granice środowiska fantastycznego? Przeglądając się Pani twórczości, raczej powiedziałabym o *Łasce* i *Wiarze*, że to nie tyle gwałtowna zmiana czy przełom, ile wynik konsekwentnego rozwoju: można przecież nazwać Domenicą Jordana (czyli bohatera *Diabła na wieży* i *Zabawek diabła*) detektywem, natomiast *Niepełnię* książką zawieszoną między światami: tym realistycznym i tym nierealistycznym (jeśli umówimy się, że można wskazać wyraźne między nimi różnice).

ANNA KAŃTOCH: Tak, zdecydowanie ani *Łaska*, ani *Wiara* nie jest gwałtownym zwrotem w mojej twórczości – w gruncie rzeczy większość moich książek, jeśli nie wszystkie, to w ten czy w inny sposób „kryminały” (w centrum znajduje się zagadka, choć niekoniecznie dotycząca morderstwa). Natomiast nie jestem pewna, na ile ma sens porównywanie mnie z autorami takimi jak Łukasz Orbitowski, Wit Szostak czy Szczepan Twardoch. Ta trójka ma

jedną wspólną cechę: owszem, zaczęli od literatury fantastycznej, ale później przeszli do mainstreamu. Ja przeszłam od pisanie fantastyki do pisanie kryminałów, czyli od jednej literatury gatunkowej do drugiej. I choć kryminał z jakiegoś powodu faktycznie zdaje się postrzegany jako coś bliższego mainstreamowi niż fantastyka, to jednak do głównego nurtu nie należy – jest tylko innym rodzajem literatury gatunkowej. Dlatego nie mogę liczyć za bardzo na zainteresowanie mainstreamowych krytyków (pomijając już oczywisty fakt, że do poziomu Twardocha, Szostaka czy Orbitowskiego mi daleko). I jestem teraz w trochę dziwnej sytuacji, bo grupa odbiorców fantastyki i grupa odbiorców kryminału pokrywa się tylko w niewielkim zakresie: ludzie, którzy czytają moje książki fantastyczne, zazwyczaj nie są zainteresowani kryminałami, a ci, którzy lubią kryminały, często nawet nie wiedzą, że piszę także fantastykę...

A.M.: Powieść kryminalna powinna oddawać realia, obyczajowość, materialne doświadczenie, ma być swego rodzaju dokumentem czasów, w których te książki powstawały lub do których się odnosią. Właśnie w kryminale, jak nigdzie indziej, można powiedzieć „sprawdzam” i oceniać strukturę powieści przez zbieżność z tak zwaną rzeczywistością: być może zresztą stąd popularność kryminałów się bierze, z tej wiary, że można dokładnie opisać świat i odpowiedzieć na wszystkie pytania, wskazać na ciąg przyczynowo-skutkowy, wypełnić wszystkie luki, których poza powieścią kryminalną doświadczamy, przekroczyć zgrozę niewiedomej. Czy bliskie retro, czyli odniesienie do historii najnowszej, które w Pani powieściach kryminalnych (ale i w cyklu przygód Niny Pankowicz) można wskazać, przysporzyło Pani dodatkowych kłopotów warsztatowych, postawiło przez Panią dodatkowe wyzwania? Jest Pani wyjątkowa również z tego powodu, że Pani postacie nie powielają stereotypowych wzorców zachowań związanych z epoką – przemocowe postacie popularnych retro-detektywów (ich język, poglądy, relacje z bohaterkami) usprawiedliwia się ówczesnymi realiami, twierdzi się, że przecież nie mogli się wówczas zachowywać inaczej. Pani pokazuje, że jednak mogli. Buduje Pani mocne postacie, bohaterki Pani powieści w niekoniecznie widowiskowy, ale mocny sposób stawiają odpór rzeczywistości; nie muszą być jak Lara Croft, mają być skuteczne. Czytam Pani powieści w takim właśnie trybie, widzę w nich zamysł wskazania na różnicę między przemocą a siłą i realizację prawdziwie nowych typów bohaterek, których nowość nie wyczerpuje się na powierzchni, wizerunku czy zręcznych grepsach. Czytam Pani powieści jak rozpisane na wiele odcinków, stylów, sposobów działania ku zmianie, właściwie nawet: rewolucyjne. Czy rzeczywiście?

- A.K.: Bardzo trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ kiedy piszę książkę, kieruje mną przede wszystkim chęć opowiedzenia interesującej historii i zapewnienia czytelnikom kilku godzin dobrej rozrywki. Podobnie jest z bohaterami: staram się, żeby dana postać była ciekawa i spójna pod względem psychologicznym; nad tym, jak taka czy inna jej cecha zostanie odebrana, rzadko się zastanawiam. Nawiasem mówiąc, sporo osób już mi mówiło, że milicjanci w moich książkach są zbyt „grzeczni”, mało klną i rzadko biją... To prawda i nawet zastanawiałam się, czy to zmienić, ale ostatecznie doszłam do wniosku, że nie warto. Lubię moich bohaterów takich, jakimi są, i zdecydowanie łatwiej wczuć mi się w psychikę dość jednak przyzwoitego człowieka niż przemocowca. Wydaje mi się zresztą, że postać głównego bohatera drania bardziej pasuje do kryminałów w stylu *noir* niż do kryminałów klasycznych (do tych jest mi bliżej). Przekleństwa obciążałam celowo: to, co sprawdza się w życiu, niekoniecznie dobrze wygląda na kartach książki i zdania, w których co drugie słowo to „kurwa”, na dłuższą metę jednak są – przynajmniej w mojej ocenie – męczące. Klimat retro starałam się utrzymać za to w realiach świata, co nie było tak trudne, jak mogłoby się wydawać – miałam o tyle łatwiej, że jednak sporo z lat osiemdziesiątych pamiętam. Choć z drugiej strony opieranie się na swojej pamięci bywa zwodnicze, dlatego to, co mogłam, starałam się sprawdzać.
- A.M.: Chciałabym jeszcze dopytać o niesamowitość – w *Łasce* i *Wierze* pozostały elementy już nie tyle może fantastyki, ile grozy. Odpowiedź na pytanie „skąd zło?” musiałaby tutaj wykraczać poza logikę, którą rządzi się powieść detektywistyczna czy zrozumienie dla potęgi żądz, zemsty i pychy z powieści kryminalnej. Jaką właściwie funkcję ma spełnić niesamowitość w Pani powieściach?
- A.K.: Mam wrażenie, że to poniekąd kwestia moich związków z fantastyką – tak bardzo przywykłam do pisania książek o tematyce fantastycznej, że nie potrafię się do końca tych elementów pozbyć. I zresztą chyba też nie próbuję – uważam, że groza dobrze współgra z kryminałem i podkreśla klimat zagrożenia. Ale nie doszukiwałabym się w niej niczego więcej. Nie podejmuję się odpowiedzieć na pytanie, skąd bierze się zło. Nie znam na nie odpowiedzi.
- A.M.: „Bohater powinien być samotny” – na takie zdanie można się natknąć w klasyce powieści kryminalnej. Czy dobrze rozumiem, że próbuje Pani również ten stereotyp jeśli nie przełamać, to przynajmniej naruszyć?
- A.K.: Nie spotkałam się nigdy z takim twierdzeniem, choć faktycznie – jeśli spojrzeć na klasykę literatury kryminalnej, bohaterowie tacy jak Sherlock Holmes, Poirot czy Marlowe działają mniej lub bardziej samotnie. Taki typ bohatera dobrze sprawdzał się

w literaturze sprzed kilkudziesięciu lat, kiedy od kryminału czytelnik nie oczekiwał zbytniego realizmu. Dziś jest inaczej, dziś czytelnicy oczekują większego prawdopodobieństwa, stąd i bohaterowie są zdecydowanie bardziej „ludscy” – mają rodziny, jakąś historię, swoje słabości. I nie działają sami, bo w realnym życiu mało kto jest w stanie radzić sobie sam.

A.M.: Budowanie atrakcyjnego i nośnego wizerunku, aktywność we współczesnym życiu literackim i przestrzeni nowych mediów to podobno podstawa sukcesu pisarskiego. Pani nie tylko raczej milczy, raczej się nie udziela, lecz także raczej Pani nie widać. Czy to celowa strategia, czy może na tę sytuację mają wpływ jakieś inne czynniki?

A.K.: Mam nadzieję, że jednak da się osiągnąć sukces, nie będąc zbyt aktywną w mediach (przykład Miłoszewskiego pokazywałby, że jest to możliwe)... Jestem obecna na Facebooku, ale moja aktywność ogranicza się tam do wrzucania od czasu do czasu krótkich informacji na temat moich książek. Nie wiem, czy można to nazwać budowaniem atrakcyjnego wizerunku, chyba nie... Do budowania wizerunku niespecjalnie się nadaję – i nie chodzi nawet o nieśmiałość, bo nie mam większego problemu, żeby na przykład wypowiadać się w radiu czy w telewizji – po prostu za tym nie przepadam, nie uważam, żebym miała coś szczególnie interesującego do powiedzenia, i nie mam potrzeby wypowiadania się publicznie.

A.M.: W Pani pisarstwie, zwłaszcza w tych książkach, które są bardziej „realistyczne”, istotną rolę odgrywa przestrzeń. Często w prezentacjach pisarki Anny Kańtoch pojawia się informacja: „mieszka i pisze na Śląsku”. Jak ważne jest dla Pani miejsce pracy? I co by w Pani przypadku znaczyła owa zakładana śląskość?

A.K.: Dla mojej twórczości śląskość nie ma większego znaczenia – zdarzało mi się umieszczać akcję książki w Katowicach, ale tak naprawdę mogłoby to być równie dobrze inne miasto. Dopiero niedawno przyszło mi do głowy, że mogłabym osadzić te moje historie mocniej w śląkości: chodzi mi po głowie pomysł na książkę, która działałaby się na Nikiszowcu, czyli w jednej z ciekawszych dzielnic Katowic, która na przestrzeni lat bardzo się zmieniła. I którą dobrze znam, bo tam mieszkali moi dziadkowie, a teraz sama mieszkam niedaleko. Śląskość ma natomiast dla mnie znaczenie prywatne. To moja druga, po byciu Polką, tożsamość. I bardzo żałuję, że nigdy nie nauczyłam się gwary, choć w dzieciństwie miałam okazję...

A.M.: Powieść kryminalna w Polsce upodobała sobie miasto, i to raczej duże, przejmując (i odtwarzając) tradycje światowego, zwłaszcza czarnego, kryminału. Warszawa, Wrocław, Poznań, Kraków czy Lublin mają swoje reprezentacje w tym gatunku, całe

cykle książek składające się na przygody detektywów poznających tajemnice miasta i ludzkich dusz. Śladami tych postaci organizowane są spacerowe, bohaterowie stają się częścią promocji kulturalnej (to ciekawe, jak można zagospodarować zbrodnię). Pani, jako jedna z niewielu piszących, podjęła wyzwanie wyjścia poza sprawdzony schemat, buduje Pani portrety miejsc od centrum odległych, niegłośnych, ale i dalekich od sentymentalizmu, wyrazistych i przejmujących. Czy to wynik rozpoznania niszy, czy raczej naturalne, dalekie od kalkulacji działanie?

A.K.: To jest ten moment, kiedy muszę się przyznać, że to czyste wygodnictwo: akcja zarówno *Łaski*, jak i *Wiary* toczy się w miejscowościach wymyślonych, ale wzorowanych na prawdziwych (w *Łasce* to Strzelin, w *Wierze* – kompilacja kilku wiosek z okolic Żywca). Tak jest łatwiej, bo z jednej strony mam pewien punkt odniesienia (realnie istniejącą miejscowość), z drugiej mogę swobodniej manipulować przestrzenią i jeśli do historii będzie mi pasowało, żeby przystanek autobusowy był po drugiej stronie ulicy, to bez problemu mogę go przedstawić. Poza tym nie jestem pewna, jak mieszkańcy autentycznych małych miejscowości zareagowałiby na moje książki – czy byłiby zadowoleni czy wręcz przeciwnie? Wiem, że ludzie bywają bardzo przywiązani do swoich „małych ojczyzn” i nie chciałabym robić nikomu przykrości, przedstawiając tę ojczyznę jako siedlisko makabrycznych zbrodni.

A.M.: Stawia Pani pytania o wielkie mechanizmy budujące małe społeczności, a pytania te przekładają się na pytania o regulacje w skali mikro. Pisarze i pisarki bywają obsadzani w rolach osób, które znają odpowiedzi na pytania dotyczące życia społecznego; część protestuje, twierdząc, że po prostu opowiadają historie, że są mniej mądrzy od swoich książek, ale część tę rolę przyjmuje. Jak jest w Pani przypadku?

A.K.: W tym przypadku moja sympatia jest po stronie Umberto Eco, który swego czasu narzekał, że dziennikarze pytają go o wszystko, włącznie z tym, co sądzi o fakcie, że w jego rodzinnej Alessandrii rzeka niedawno wylała. Ja również (przy zachowaniu wszelkich proporcji) nie czuję się kompetentna, aby wypowiadać się w kwestiach, o których mam niewielkie albo zgoła żadne pojęcie. O życiu społecznym wiem tyle co przeciętny człowiek, proszę więc nie oczekiwać ode mnie, że powiem coś mądrzejszego, niż powiedziałaaby jakakolwiek inna osoba. Ja tylko piszę historie i dostarczam ludziom rozrywki. Swoją drogą, nie jestem wielką zwolenniczką popularnego ostatnio trendu, żeby w powieściach kryminalnych dopatrywać się diagnozy rzeczywistości. Mam wrażenie, że zaciera się teraz granica między kryminałem a powieścią obyczajową – ta druga coraz bardziej znika, ale za to

pierwsza przejmując rolę drugiej. Nie wiem, czy to dobrze. Oczywiście w ten sposób powstaje wiele świetnych książek – przykładem jest choćby twórczość Henninga Mankella. Niemniej kryminał to kryminał, a obyczaj to obyczaj: jeśli autora nie obchodzi, kto zabił ani dlaczego, za to interesuje go diagnoza współczesnego społeczeństwa, może to być świetna powieść obyczajowa – ale kryminał pisany taką metodą wyjdzie słaby...

A.M.: Zadając to pytanie, myślałam o tym, jak krytycznie przedstawia Pani dynamikę życia w grupie, społeczności – zwłaszcza małej miejscowości, w której nie ma dokąd uciec, gdzie się schronić, o popełnianych zbrodniach wszyscy wiedzą, a rozwiązanie zagadki polega właściwie na przełamaniu zмовы milczenia. Również Kościół jako instytucja jest raczej mroczna, niekoniecznie wspierająca siły dobra.

A.K.: Kościół, owszem, jako instytucja niekoniecznie wypada w moich książkach sympatycznie, ale już księża bywają całkiem przyzwoici. Jednym z głównych bohaterów *Wiary* jest właśnie ksiądz, którego starałam się przedstawić jako trochę pogubionego, ale w gruncie rzeczy miłego człowieka. A życie w małych miasteczkach ma swoje zalety, choć ma też wady – w kryminałach, niestety albo „stety”, na wierzch wychodzą zazwyczaj te ostatnie...

A.M.: Na koniec zapytam o Śląski Klub Fantastyki, który mieści się w Katowicach przy ulicy Pocztowej. Klub był dla Pani ważnym miejscem, a jego prezeska Elżbieta Gepfert ważną postacią. Jakub Ćwiek pisał o nim we wstępie do *Światów Dantego* i na podstawie tych wspomnień można zbudować obraz niezwyklej wspólnoty czytelniczo-pisarskiej, pozbawionej toksycznej rywalizacji, wspólnoty zbudowanej na przyjaźni i wsparciu. Jaką właściwie rolę odegrał ŚKF w Pani życiu?

A.K.: ŚKF odegrał bardzo ważną rolę w moim życiu i wciąż ją odgrywa. Gdyby nie ŚKF, moja przygoda z pisaniem prawdopodobnie skończyłaby się bardzo szybko. Była prezeska Elżbieta Gepfert pomogła mi przerobić pierwszą powieść tak, że z niepublikowalnej stała się publikowalna, sporo pomógł mi też Kuba Ćwiek, a później inni członkowie sekcji literackiej. Teraz pomagamy sobie nawzajem, omawiamy swoje teksty i spotykamy się w ramach Klubu, który wciąż istnieje i ma się doskonale, choć zmienił siedzibę i teraz mieści się przy ulicy Górnika. I taka wspólnota najwyraźniej się sprawdza, bo mamy w Klubie w tej chwili już kilkoro wydawanych, rozpoznawanych pisarzy – oprócz mnie jest tam jeszcze na przykład Michał Cholewa znany z cyklu *Algoritm Wojny*.